

The logo for Newsweek.pl, featuring the text "Newsweek.pl" in white, bold, sans-serif font on a red rectangular background.

Newsweek.pl 13 listopada 2010

Artykuł: ["Polski James Bond"](#)

Autor: Rafał Geremek

Podobno to Polak, Jerzy Sosnowski, był pierwowzorem najstynniejszego agenta świata Jamesa Bonda. Niemcy, których szpiegował, zrobili nawet o nim film.

"Byłem szpiegiem z zamiłowania. Szpiegostwo to pasja jak sport, takie swoiste zawody, w których walczy się mózgiem" – tak po latach mówił o swojej pracy Jerzy Sosnowski, jeden z najwybitniejszych agentów przedwojennej Dwójki, czyli Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

Wysoki brunet o ciemnych oczach i eleganckich manierach, który świetnie jeździł konno i dobrze znał języki, łatwo mógł udawać arystokratę. W Berlinie, gdzie brylował na salonach, nikt nie przeczuwał, że Georg von Nałęcz-Sosnowski, playboy ze Wschodu, jest agentem. Rotmistrz Jerzy Sosnowski przez osiem lat wodził za nos niemiecki kontrwywiad i to dzięki niemu w latach 1926-1934 wygrywaliśmy wojnę szpiegowską z Niemcami. Żył w Berlinie jak dandys, a kolejne kochanki wynosiły dla niego tomy akt z najważniejszych urzędów w państwie.

Raporty Sosnowskiego były dla międzywojennej Polski na wagę złota. To on jako pierwszy donosił do Warszawy o zacieśnieniu współpracy niemiecko-sowieckiej, które w 1939 roku doprowadziło do podpisania paktu Ribbentrop – Mołotow, przekazywał też informacje o niemieckich szpiegach w Polsce. Jednak największym sukcesem polskiego agenta było zdobycie planu sztabowego „Organisation-Kriegsspiel” (Organizacja Gra Wojenna), który zawierał wykaz działań na wypadek wojny z Polską.

Podobno to właśnie jego postacią zasugerował się pisarz Ian Fleming i stworzył swojego agenta nad agentami Jamesa Bonda. Aż dziwne, że u nas nie powstał film o rotmistrzu. Jedynie na przełomie lat 80. i 90. jego losami zainspirowali się twórcy serialu „Pogranicze w ogniu”. Rotmistrz Jerzy Sosnowski był w nim jednym z agentów polskiego wywiadu w Niemczech. Film o

Sosnowskim zrobili za to... Niemcy – poświęcili Polakowi jeden z odcinków serialu dokumentalnego o szpiegach. W Polsce Sosnowski do niedawna był kompletnie nieznany, ale na szczęście pojawiła się wreszcie pierwsza biografia „Rotmistrz Sosnowski. As wywiadu Drugiej Rzeczypospolitej” autorstwa prof. Henryka Ćwięka. Choć to praca historyczna, czyta się ją jak powieść sensacyjną.

Jerzy Sosnowski, lwowianin pochodzący ze średniozamożnej rodziny inteligentkiej, w 1914 roku w wieku 18 lat wstąpił do 1. Pułku Piechoty Legionów. Jeszcze w grudniu pierwszego roku I wojny światowej przeniesiono go do szkoły oficerów kawalerii austriackiej. Na koniu czuł się wyjątkowo pewnie, co od razu dostrzegli przełożeni i już w maju 1915 roku mianowano go dowódcą plutonu pułku ułanów. Rok później pięciokrotnie odznaczono go za odwagę na froncie. W 1916 roku przeszedł przeszkolenie lotnicze i latał m.in. w samolotach bojowych na froncie albańskim. Służbę w armii austriackiej zakończył w randze porucznika.

Po odzyskaniu niepodległości znowu został ułanem. Podczas wojny z bolszewikami w 1920 roku aż czterokrotnie odznaczono go Krzyżem Walecznych i awansowano na rotmistrza (kapitana kawalerii). W czasie pokoju jego pasją stały się wyścigi konne. Startował na torach w Berlinie, Paryżu, regularnie ścigał się w Sopocie. Pewnie mógłby odcinać kupony od wojennych wyczynów, gdyby nie słabość do kobiet. Odbił narzeczoną jednemu z przełożonych i pojął ją za żonę. Skandal wprowadził w końcu ucichł, ale jasne było, że Sosnowski wielkiej kariery w armii już nie zrobi. Tym bardziej że marszałek Piłsudski promował przede wszystkim legionistów, a byłych oficerów armii państw zaborczych awanse omijały. Podczas podróży z żoną po Europie Sosnowski obejrzał niemiecki film o bohaterskim szpiegu i już wiedział, kim chce zostać.

W 1926 roku pojawił się w Berlinie, wynajął luksusowy apartament w dobrej dzielnicy i w stajni przy wyścigach umieścił sześć swoich koni. Natychmiast wzbudził zaciekawienie. Mówił wszystkim, że żyje ze sporego majątku ziemskiego pozostawionego w Polsce. W rozmowach określał siebie jako przeciwnika sanacji i zapiekłego wroga bolszewików. Elita berlińska przyjęła go z otwartymi ramionami, a najzupełniej dosłownie uczyniła tak Benita von Falkenhayn, jego pierwsza kochanka. Kragłą brunetkę Sosnowski poznał kilka lat wcześniej podczas wyścigów konnych w Sopocie, gdzie ścigał się jako dżokej z niemieckimi jeźdźcami. Stali się modną parą. Falkenhaynowie byli niezwykle ustosunkowaną rodziną, Benita знаła wiele sekretarek w ministerstwach. Ponadto miała ponadprzeciętny talent do odkrywania ludzkich słabości. Z miłości do polskiego ułana dała się zwerbować, a potem już wspólnie namówili do współpracy oficera Abwehry Günthera Rudloffa, który z powodu skłonności do kart i alkoholu ciągle popadał w długi. Rudloff nie przekazał polskiemu wywiadowi jakichś rewelacyjnych materiałów, ale udaremnił próbę rozpracowania przez niemiecki kontrwywiad rotmistrza przeprowadzoną latem 1927 roku.

Kilka miesięcy później Benita wytypowała na szpiega Irene von Jena, urzędniczkę z ministerstwa wojny, która przekazała Sosnowskiemu dokumenty dotyczące budżetu Niemiec (w tym wydatków wojskowych). Kolejną agentką była Renate von Natzmer, która dostarczyła polskiemu wywiadowi niezwykle ważne dokumenty dotyczące niemiecko-sowieckiej współpracy wojskowej. Za dostarczane do kraju informacje w 1929 roku Sosnowskiemu nadano Złoty Krzyż Zasługi, a dwa lata później awansowano do stopnia majora.

Do wpadki polskiego szpiega doprowadził skrajny brak roztropności. Na początku 1932 roku rodzice Sosnowskiego złożyli mu wizytę w Berlinie. Mama rotmistrza przypadkiem zwierzyła się hrabinie Bucholtz, że wraz z mężem żyją skromnie w Milanówku. Dodała też, że nie mogą pomagać synowi. A przecież Sosnowski otwierał przy niemieckich znajomych koperty z pieniędzmi, które rzekomo miał mu wysyłać ojciec! Hrabina wcześniej próbowała zdobyć względy Sosnowskiego, ale ten ją ignorował, pałała więc żądzą zemsty. Zainspirowała powstanie artykułu w „Berliner Tribune”, w którym autor prawie wprost nazywał Sosnowskiego agentem. Wydawało się, że to bomba, ale po publikacji nic się nie wydarzyło. Rotmistrza nawet nie przesłuchano, a hrabinę Bucholtz – gdy się okazało, że to jej intryga – ludzie z towarzystwa wykluczyli ze swego grona. Zaś Sosnowskiego witano na przyjęciach żartobliwym powitaniem: „Dzień dobry, panie szpiegu!”.

Jednak Abwehra po cichu zaczęła prześwietać Sosnowskiego, o czym poinformowała polskiego agenta kolejna kochanka z wyższych sfer. Oficerowie niemieckiego kontrwywiadu nasłali na dandysa piękną i rozwiązłą Ksenię von Bockenheim, by zdobyła serce rotmistrza, a potem przeszukała jego kieszenie i szuflady. Scenariusz wydarzeń znów był taki sam: Ksenia szaleńczo zakochała się w przystojnym obiekcie rozpracowania i wszystko mu wyśpiewała.

Sosnowskiego i jego siatkę zdekonspirowała w końcu tancerka Maria Kruse, którą rotmistrz rutynowo uczynił swoją nałożnicą. Podobnie jak w przypadku hrabiny Bucholtz kierowała nią zazdrość. Maria odnalazła listy, z których miało wynikać, że obiecał małżeństwo innej, poczuła się więc zdradzona. Gdy w styczniu 1934 roku major Sosnowski otrzymał rozkaz powrotu do kraju, zignorował go, bo pewnie wierzył, że znowu mu się uda wyprowadzić Niemców w pole. Jednak miesiąc później gestapo zgarnęło Sosnowskiego i jego świtę podczas przyjęcia, jakie wyprawił w domu. Aresztowano kilkadziesiąt osób, w tym samego rotmistrza i trzy jego najważniejsze agentki. Choć Polak nie mógł zapobiec temu, że dwie kobiety przez niego skazano na śmierć za szpiegostwo, podczas procesu w berlińskim sądzie całą winę starał się przyjąć na siebie, czym po raz kolejny ujął Niemców.

Sam Sosnowski był zbyt cenną zdobyczą, by tak po prostu ściąć mu głowę – dwa lata później wymieniono go na siedmiu niemieckich agentów złapanych przez polskie służby. W kraju na

berlińskiego playboya i bohatera nie czekał jednak awans, ale dalsze więzienie. Polski wywiad uwierzył w prowokację Niemców, że Sosnowski był podwójnym agentem i pracował dla Rzeszy. Po stronnicy procesie, w którym m.in. nie dopuszczano świadków powołanych przez rotmistrza, został on skazany na 15 lat więzienia. Oprócz zdrady zarzucono mu także defraudację i niegospodarność – placówka pochłonęła w sumie 2 mln zł.

Po wybuchu II wojny światowej i zdobyciu Warszawy Niemcy nie dostali Sosnowskiego. Przewieziono go z Warszawy do Lwowa, a w końcu dostał się do niewoli sowieckiej. Miał umrzeć w wyniku wyczerpania po głodówce w celi więziennej w maju 1942 roku, jak wynika z dokumentów NKWD. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że Polak, by przeżyć, podjął grę z sowieckimi służbami.

Do współpracy z Sowietami zwerbować go miał m.in. Paweł Sudopłatow, generał-lejtnant NKWD, specjalista od dywersji i zabójca Jewhena Konowalca, przywódcy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów na emigracji. We „Wspomnieniach niewygodnego świadka” opublikowanych w 1996 roku generał napisał, że Sosnowski miał odstąpić stronie sowieckiej dwóch swoich szpiegów pracujących ciągle w Niemczech. Oprócz tego rotmistrz miał w Saratowie szkolić młodych enkawudzistów.

Rzekomy flirt Sosnowskiego z Sowietami potwierdza także śledcza NKWD Zoja Woskriesienska-Rybkina, na której rotmistrz, mimo zniszczenia więzieniem, zrobił niesamowite wrażenie. Reszta to domysły i strzępy niepewnych informacji. Podobno w 1943 roku Sosnowskiego przerzucono na terytorium Polski, by pomagał Armii Ludowej. We wrześniu 1944 roku miał przebić się do walczącej Warszawy i dopiero tam zginąć. Potwierdził to Iwan Sierow, późniejszy szef KGB i GRU, dodając, że rotmistrza zabito na rozkaz AK.

Czy tak było? Nie ma na to dowodów, podobnie jak na to, że Jerzy Sosnowski kiedykolwiek szkodził Polsce. A za jego misję berlińską jesteśmy mu winni wdzięczność i pamięć.

Rafał Geremek